

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

ZA KRZYWDY OD SWOICH.



Po jedynej burzliwej sesyi sejmowej, udaremnionej przez czynele ruskie, punkt ciężkości polityki krajowej przeniósł się do sali posiedzeń koła Sejmowego, które obradowało przez środę i czwartek.

W zastępstwie rusinów wyróżnili się „poczciwi“ podolacy i nie czynele już grały, ale swojska, podolska kapela.

W szrankach stanął p. Stadnicki, który w słowach nabrzmiałych żalem i wyrzutami jął czynić wymówki namiestnikowi za to, że... dopuścił do wyboru posła Daszyńskiego... To jedno nazwisko padło... P. Stadnicki miał ich zapewne więcej na sercu i wątróbce.

To też słusznie mógł był sobie powiedzieć w duszy, że nożyce się odezwały, gdy następnie zabrał głos poseł Sliwiński.

„Nie namiestnik „dopuścił“ do wyboru p. Daszyńskiego i innych radykałów, zaczął p. Śliwiński, lecz odpowiedzialna jest za to koniecznością dziejową wiedziona Korona, która nadała powszechne prawo wyborcze; a oskarżanie namiestnika za podobne fakty równa się popychaniu go na drogę bezprawia, anarchii i nadużyć na korzyść jednej tylko klasy, która do niedawna niepodzielnie rządziła krajem, a i dziś jeszcze choć odpowiedzialności za politykę krajową nie ponosi, mimo to nią rządzi, lub przynajmniej gwałtem tego pragnie. Treścią przemówienia p. Stadnickiego jest żal za utraconymi bezpowrotnie czasami starościńskimi, jego osią namiestnik, z którego łaski nauczono żyć cały kraj — i sakramentalne „przy Tobie stoimy, stać chcemy“, ale zaprawne zawodem i zawiścią, że inni się tam cisną, że dla wszystkich miejsca nie starczy. Ta chęć urządowienia siebie i swojego stronnictwa jest smutnym obrazem naszej nędzy, naszego upadku, to wierny konterfekt naszego kraju, braku wiary we własne siły, braku świadomości o potędze naszego ludu“.

Ale, rozprawiwszy się krótko z p. Stadnickim, przechodzi poseł Śliwiński do krytyki ogólnego nastroju Sejmu i jego polityki i od tej chwili przemówienie jego nabiera znaczenia programowego, zwraca się ku najżywotniejszemu postulatowi chwili, ku reformie wyborczej do Sejmu.

„Nasz sejm, to dom nieuleczalnych, woła poseł

Śliwiński, bo brak mu myśli przewodniej, brak polityki społecznej, bo zamyka on oczy na zjawiska społeczne, na konieczności dziejowe, na potrzeby ludu, które dziś lub jutro muszą być zaspokojone. A brak mu tego wszystkiego, bo niema w nim reprezentantów ludu pracującego, tych, którzy z jąder samego życia przynoszą nam wieści o dzisiejszych jego potrzebach i formule rządowej nie dają się zasklepić w krótkowidztwie, w egoizmie jednej klasy i jej interesów. Dlatego też walka z socyalistami, to walka przeciw wolnej, niepodległej myśli polskiej. Czasy starościńskie minęły, dawno minęły i nie wrócą, a punkt ciężkości życia wolno, ale systematycznie przesuwa się na lewo. Nawet z pośród tych, którzy najbardziej opancerzali się przed wszelką nowizną, widzimy Reyów między ludowcami, Skarbków wśród demokratów (choć z przymiotnikiem). Już nawet Badeni składa życzenia noworoczne mieszczaninowi lwowskiemu i występuje z dziewiczą mową i odwagą na zgromadzeniu ludowem, składając enuncyacyę w imieniu swego stronnictwa. Dożyjemy czasów, że i polski socyalizm będzie miał swoich Trubeckich i Krapotkinów. Tak życie coraz to nowe zdobywa sobie placówki i ci nawet, którzy mają do swej dyspozycyi bagnety i kasy podatkowe, nie mogą już obecnie rządzić bez przedstawicieli ludu, ale tem mniej nas stać na to, bo cała nasza siła i przyszłość to lud.

Poseł Śliwiński wskazuje na to, że normalniejsze ustosunkowanie sił naszej reprezentacyi wiedeńskiej i sejmu krajowego wzmocni nasze stanowisko wobec Wiednia i Korony, że więc reforma wyborcza do Sejmu jest nietylko wymogiem sprawiedliwości, ale i ważnym czynnikiem naszej polityki narodowej. „Powszechne prawo wyborcze musi być uchwalone, by kraj uniknął wstrząśnień i rewolucyi już nie tylko w ruskiem, ale i w polskiem społeczeństwie“.

„B o n i c t a k n i e b o l i j a k k r z y w d y d o z n a w a n e o d s w o i c h“.

„Zasypujecie oczy polskiego społeczeństwa ruskim piaskiem, ale tego nie starczy na długo, stwarzacie aureolę posłom ruskim, jako jedynym niemal prawdziwym demokratycznym przedstawicielom ludu, ale krzywdę tem wielką wyrządzacie własnemu narodowi. I tu więc reforma wyborcza byłaby jedynem słusznem zakończeniem sporu, który dzieli dwa narody“.

Ale p. Śliwiński, który ten sejm nazwał domem nieuleczalnych, wie, czego spodziewać się można od niego, wie, że tutaj krok za krokiem zdobywać trzeba będzie teren i choć sam jest zdania, że tylko 4 przymiotnikowe prawo wyborcze załatwi sprawę ruską jak i inne najbardziej palące kwestye krajowe, woła: „puście robotników nie 12, nie 10, ale ośmiu. Bądźcie raz mądrzy. Dajcie szczerze i uczciwie. Powetujcie wielkie krzywdy; im wcześniej, im więcej dacie, im więcej powołacie prawdziwych reprezentantów ludu roboczego do rządów krajowych, tem bliżej nam będzie do wyzwolenia się, do niepodległości naszego narodu“.

Mury sejmowe nie słyszały jeszcze tak śmiałej i płomiennej obrony reformy wyborczej, to też w gorących słowach podniósł jej znaczenie poseł Rutowski, który przemawiał następnie i rzekł: przeleciała tu przez salę czarna jaskółka, niby wrażenie wiosny. Gdyby ich było więcej, byłaby może wiosna. Przemówił radykał via Wiedeń, dobra krew szlachecka... A gdy tak przyjdą inne jaskółki bezherbowe“... Będzie wiosna, być musi!



RES.

WYBORY w NIEMCZECH.

25-go stycznia 1907 r. reakcya niemiecka, z niemieckim „postępem“ pobratana i sprzymierzona, upajała się zwycięstwem. „Przewrotowcy“, „wrogowie wewnętrzni“, „bezojczyźniacy“ — słowem, socyaliści — ponieśli porażkę. Przy pierwszych wyborach zdobyli tylko 29 mandatów; wybory ściślejsze przyczyniły im jeszcze 14 mandatów, podczas gdy w r. 1903 w liczbie 81-go wkroczyli do parlamentu. „Wir haben sie niedergeritten“ (stratowaliśmy ich) — wołał z okien swego pałacu Wilhelm II. a gawiedź reakcyjno — liberalna, dumna ze „stratowania“ wrogów, wtórowała tym słowom radosnem rżeniem. Wprawdzie „stratowani“ zdobyli 3¼ mil. głosów o ćwierć mil. więcej, niż w r. 1903, zatem nie udało się bynajmniej osłabić ich potęgi w narodzie, ale klasy panujące cieszyły się doraźnym, powierzchownym tryumfem: zmniejszeniem się liczby posłów socyalno-demokratycznych, zmniejszeniem się procentowego stosunku głosów socyalistycznych do ogólnej liczby oddanych głosów.

W r. 1907 rządowi i stronnictwom rządowym udało się wziąć wyborców na lep polityki kolonialnej. Socyaliści zasadniczo i bezwzględnie wystąpili przeciwko afrykańskim „zdobyczom“, z pewnymi zarzutami wystąpiło również katolickie centrum. Natenczas konserwatyści, narodowo-liberalni i postępowcy w zgodnym ordynku wystąpili przeciwko socyalistom i centrowcom, rzucając w masy „patryotyczne“ hasło uniewielbienia dla zamorskich posiadłości Niemiec, dla takich „klejnotów“ Korony niemieckiej jak Kamerun. Kolonialna błyskotka podziałała, zwabiając do obozu rządowego liczny hufiec wyborców chwiejnych, głosujących pod wpływem nastroju, zazwyczaj nawet wcale nie głosujących. Centrum, rozporządzające tradycyjnym, mocno ugruntowanym wpływem na wyborców katolickich, umiejące zresztą świetnie posługiwać się demagogią, krętactwem i religijnymi wabikami, szkody nie poniosło. Ale parlamentarnemu przedstawicielstwu klasy robotniczej demagogia „patryotyczno“ — kolonialna przyniosła poważny uszczerbek.

Był to jednak tylko epizod, tylko zręczne wy-

zyskanie przez konserwatystów chwilowego nastroju i chwilowej sytuacyi. Nie mogło to zmienić zasadniczo wielkiej linii rozwojowej. Niedługo trwał sojusz dziwaczny konserwatyzmu z postępem, junkrów z „wolnomyślną“ burżuazyą. Postępowcy z sojuszu tego zgoła żadnych korzyści nie odnieśli, nawet w najmniejszym stopniu, w najniklejszych drobnostkach nie zdołali „zliberalizować“ rządu. Poprostu, wprzągnięci do rydwanu konserwatystów, odgrywali śmieszną i nędzną rolę. Sojusz rozbił się, gdy, z powodu przedłożeń podatkowych, konserwatyści twardo oświadczyli się przeciwko podwyżce podatku spadkowego. Nie chcieli brać na siebie nawet drobnej cząstki tego ciężaru, który straszliwem brzemieniem (pół miliarda marek!) zwalali na barki ludu niemieckiego. Stanął nowy sojusz, tym razem daleko trwalszy, bo oparty na powinactwie duchowem i na solidarności w polityce ekonomiczno-finansowej: sojusz konserwatystów z centrowcami, blok „czarno-błękitny“, związek „der Ritter und der Heiligen“.

Blok ten oznaczał utrwalenie się, obwarowanie, wzmocnienie reakcyi niemieckiej we wszystkich dziedzinach. Militaryzm i marynizm, hakatyzm i klerykalizm, agrarno-plutokratyczna polityka cłowa i finansowa, buta junkierska, chciwość klerykalna, czelność biurokratyczno-policyjna, drapieżność wielkokapitalistyczna — wszystkie te plagi nowoczesnych Niemiec ujawniły się z całą jaskrawością. W dziedzinie finansowej nowe podatki, w dziedzinie polityki wewnętrznej uniemożliwienie przez junkrów wszelkiej demokratyzacyi nad wyraz plugawego sejmu pruskiego, w dziedzinie ekonomicznej drożyzna powszechna stanowiły najpotężniejsze bodźce niezadowolenia wśród szerokich warstw. W dziedzinie polityki zewnętrznej budziła szyderstwo, oburzenie lub conajmniej niechęć nieobliczalna samowola Wilhelma II, nieustanne wałęsanie się, bez żadnej kontroli, jego języka, usposobienia i zamierzeń. Ale niezależnie nawet od tej polityki „osobistej“ cesarza niemieckiego, dyplomacya niemiecka nie mogła poszczycić się żadnym tryumfem: Ostatnie wystąpienie Niemiec w sprawie marokkańskiej, buńczucznie rozpoczęte, wojowniczo rozdymane przez szowinistów, skończyło się dla dyplomacyi niemieckiej wcale marnie.

Oddawna tedy stawało się jasnem, że tym razem socyalistów nie uda się „stratować“ przy wyborach. Zapowiadały to jaskółki wyborów uzupełniających, które dały socyalistom 10 nowych mandatów i świadczyły o burzliwym wzroście „c z e r w o n e j f a l i“. Powszechnie też spodziewano zię w Niemczech wielkiego tryumfu wyborczego socyalnej demokracyi, wzrostu liczby jej mandatów do 90—100.

Socyalna demokracya niemiecka od czasu ostatnich wyborów wzmocniła potężnie i udoskonaliła swoją organizacyę i rozszerzyła ogromnie swoje wpływy agitacyjne. Liczyła w r. 1911 836.562 członków (w porównaniu z r. 1910 wzrost o 116.524!) pisma partyjne miały 1,306.465 abonentów (wzrost o 146.449!); dochód partyi wynosił $4^{1}/_{2}$ mil. marek. Zbrojna w taką potęgę, silna zarazem stanowczością i stałością zasad, niesiona na fali powszechnego niezadowolenia, socyalna demokracya istotnie odniosła 12-go stycznia wspaniałe zwycięstwo. Wstępnym bojem zdobyła 66 mandatów, w 120 okręgach staje do wyborów ściślejszych. $4^{1}/_{4}$ mil. wyborców stanęło pod jej sztandarem, trzecia część ogółu, o m i l i o n więcej, niż w r. 1907. Oto jest odpowiedź „stratowanych“, dla przyszłości Niemiec niezmiernie ważna, nadzwyczaj również doniosła dla międzynarodowego ruchu robotniczego.

Czy jednak nastał już „zmierzch bogów“, jeżeli nie w życiu politycznem Niemiec, to przynajmniej w parlamencie? Czy blok „czarno-błękitny“, trzęsący parlamentem, należy już do przeszłości? Czy parlament w większości swej będzie miał inną fizyognomię, opozycyjną, czy punkt ciężkości przesunie się w nim na lewo? Na to odpowiedź dadzą dopiero wybory ściślejsze: stoczy się bowiem walka o 189 mandatów, więc niemal o połowę — i niepodobna przewidzieć dokładnie, co się wyłoni z wiru kombinacyj, układów i walk partyjnych.

Podczas wyborów głównych jedna tylko socyalna demokracya zwycięzką stoczyła batalię przeciwko reakcyi. Ona w swoich 66-iu mandatach, w $4^{1}/_{4}$ milionowej armii swoich wyborców skrystalizowała niejako całą opozycyę społeczno-polityczną ludu niemieckiego. Opozycya burżuazyjna poniosła porażkę: z postępowców nie przeszedł ani jeden, z narodowo-liberalnych tylko 4-ch. Konserwatyści, a zwłaszcza centrowcy wyszli z walki z małym tylko uszczerbkiem, nieznacznie osłabieni. Rzekłbyś — w starciu potężnych przeciwników, w walce olbrzymich pancerników zdruzgotano wątłą łódź liberalno-postępową. Objawiło się tu raz jeszcze, przytem szczególnie jaskrawo, niedołęztwo i lichota liberalizmu i postępowości niemieckiej — wynik całej historyi niemieckiej od 1848 r.

Coprawda, zaznaczyć należy, że w Niemczech wszystkie stronnictwa postępowe upośledzone są podczas wyborów z winy nierówności okręgów wyborczych. Okręgów tych nie zmieniono od roku 1870, a przez ten czas nastąpiły ogromne zmiany w rozmieszczeniu ludności. Okręgi zacofane, wiejskie — główna dziedzina konserwatystów i centrowców — korzystają ze sztucznego przywileju z krzywdą okręgów postępowych, miejskich. Odbija się to i na socyalnej demokracyi, sprawia, że siła partyi tej nie wyraża się w całej pełni w liczbie mandatów, ale o wiele gorzej jeszcze odbija się to na słabym „postępie“ burżuazyjnym.

Chociaż jednak liberalizm niemiecki poniósł klęskę w d. 12-ym stycznia, możliwem jest, że ostateczny wynik wyborów przyniesie znaczne osłabienie blokowi „czarno-błękitnemu“. Nie jest nawet wykluczonem, że opozycya w parlamencie będzie rozporządzała nieznaczną większością. Zależy to od zachowanla się stronnictw liberalnych. Przecież do wyborów ściślejszych staje 120 socyalnych demokratów, pięćdziesięciu kilku postępowców, 64 narodowo-liberalnych! Socyaliści podczas wyborów ściślejszych nie będą wdawali się w przygodne układy, w te czy inne szacherki, ale poprą tych kandydatów burżuazyjnych, którzy zobowiążą się do pewnego minimum przyzwoitości politycznej. Nie można jednak przewidzieć, jak zachowają się postępowcy, czy nie wpłyną na nich syrenie głosy głosy rządowców, nawołujących do koncentracyi antisocyalistycznej. A już najgorsze przypuszczenia należy wyrazić co do zachowania się narodowo-liberalnych, tej partyi szowinistycznej, militarysty-

cznej, wielko-kapitalistycznej, wyćwiczonej zdawna w zdradzie postępu i wolności.

Dodać należy gorzką uwagę: o ile punkt ciężkości w parlamencie przesunie się na lewo, to z pomocą reakcyi pospieszy „Koło polskie“. Wyrazi się w tem solidarność klasowa z junkrami niemieckimi, solidarność ultramontańska z niemieckimi centrowcami. „Koło polskie“ może się stać „języczkiem u wagi“ i przeważać szalę na stronę reakcyi prusko-niemieckiej. Polityka ugodowa tylko o takiej chwale, o takich tryumfach, o tak nikczemnej roli marzyć może...

STEFAN GACKI.

TROFEJE.

Z długiej wyprawy przynoszę trofeje,
Do stóp mi mnogie upadły sztandary,
Kapłanem byłem niekrwawej ofiary
I wichrem byłem, co wyprzedzał dzieje.

Klęczałem w gronie wiernych na Golgocie.
Ręce me kwitły świętymi stygmaty
I byłem echem buntów Apostaty,
Ku starym bogom lecącem w tęsknocie.

Dzisiaj zasiadam jak bojownik stary,
Ważę zdobycze, liczę moje rany,
Wspominam walki, nadzieje, zamiary...
Lecz mrok otula wspomnień mych kurhany,
Jedyne prawo zgłębiłem — przemiany,
Jedyny trofej unoszę — niewiary.



JAN KLECZYŃSKI. 28)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

(Dokończenie).

Julek uczuł, że to jego siostra. Co czuła Mara, Bogu jednemu wiadomo, bo więcej już nie odzewała się ani słowem. Pomimo, że myśli Julka były jak piorunem rażone, zauważył, że mu lekko na duszy i że nie uczuwa ku Marze nic z tego, co ku innym kobietom. „Siostra“ powtarzał spokojnie — i zrozumiał, a raczej odczuł w głębi duszy, że Czesława — to i siostra — i wszystko — wszystko — bezmiar — Mara to cudna, czysta przyjaźń — siostra, — — —

Uczuł dla niej wdzięczność olbrzymią, jakąś wesołą, jasną...

Siostra!

Wróciła Tyczyńska i wręczyła Julkowi kopertę, wypchaną grubo.

Julek spojrzał zdziwiony, a zrozumiawszy zawahał się. Już usta otwierał, żeby coś powiedzieć „wykrętnego“, ale Mara spojrzała na niego tak groźnie, że czemprędzej schował kopertę, aż wszystko troje wybuchnęło śmiechem.

* * *

Julkowi, gdy wracał z Antkiem do Skibówki, myśli skakały jak szalone i zdziwione, że obijają się wciąż o mury jakichś konieczności. Ojciec i Czesława, dwa obrazy goniły się po głowie i budziły drżenia nieopisanej trwogi — nie wiedziałby, gdyby się nad tem zastanawiał, który go więcej przerażał.

Im bliżej był Skibówki, tem bardziej strach się powiększał. Julek doprawdy by wolał ominąć Skibówkę i jechać odrazu na kolej.

Ale musiał być przedtem w Skibówce. Gdy ujrzał z daleka dwór, serce mu zaczęło walić, trząsł się cały i lodowaciał, ale nie wstrzymywał pędu konia, chciałby lecieć, nie biegnąć, byle prędzej, byle prędzej.

Gdy zsiadał z konia, zaledwie sił mu starczyło tego dokonać. Ulżyło mu dopiero, gdy się dowiedział, że „panienki jeszcze nie wróciły z lasu“.

Stryjostwo byli szczerze zmartwieni wyjazdem i powodem wyjazdu. Naturalnie, że zatrzymaniom nie było końca, aż to zaczęło Julka złościć, bo jeszcze był pod wrażeniem pełnego prostoty zachowania się hrabiny i Mary, które by go chyba same wypchnęły za drzwi, gdyby się choć zawahał jechać.

Wreszcie stryj wziął Julka na stronę i rzekł:

— Więc jeżeli już koniecznie chcesz jechać, to muszę ci oznajmić, żeśmy tu myśleli o tobie. Masz talent i to mi się zdaje nieprzeciętny. Zacząłeś studyować medycynę, nie możesz chodzić na uniwersytet, wiem, że jesteś bardzo zdolny, a pozostając w Warszawie, mógłbyś się zmarnować. Musisz wyjechać. Ja tam niewiele mam, ale naradziliśmy się z kilkoma obywatelami, którzy postanowili udzielić

ci pożyczki. Zebraliśmy tymczasem te 400 rubli, których jak sądzę, przyjąć od nas nie odmówisz.

— Ależ stryju, ja teraz zarobiłem tyle u hrabiny!

— To mnie nic nie obchodzi, zresztą tam moich pieniędzy nie tak wiele. Musisz się kształcić, teraz ojciec chory — no — daj pyska i bierz!

Julek wpadł w rozrzewnienie. A on jadąc tutaj, czuł się tak idyotycznie skrępowany!

Chciał jeszcze spytać, co to za obywatele, czy może od nich przyjmować, jak im podziękuje, ale jakoś nie doszło do wyjaśnienia tej sprawy. Przypuszczał, że wszystko dał stryj i naumyślnie to ukrywał. Później, zupełnie przypadkowo dowiedział się, że z tych 400 rubli 300 pochodziło od Mary, która je wtedy przywiozła, kiedy chciała 200 wręczyć Julkowi i wszystko ułożyła, a stryj i stryjenka (która miała własne fundusze) po 50.

Pociąg odchodził za jakieś półtorej godziny, Julek miał więc jeszcze z godzinę czasu do wyjazdu na stacyę.

Chodził z kąta w kąt, spakował rzeczy, pejzażyki porozwieszał na ścianach pokoju panienek i ogarniała go coraz gwałtowniejsza ochota wyjazdu bez pożegnania z Czesławą.

W końcu kazał zaprzęgać, ale gdy bryczka zajechała, porwał go taki straszny żal, że postanowił czekać do ostatka. Zresztą nie miał z kim wprost rozmawiać. Stryj kłócił się w kancelaryi z chłopami, stryjenka przygotowywała podwieczorek, a Antek gdzieś jak w wodę wpadł: poszedł do lasu po panienki.

Julek patrzał ze strachem na drogę. Gdy mu się zdawało, że już idą, czuł nagłą ulgę, odrętwienie i jakby ironiczny śmiech w duszy. Już! no i masz — dużo ci z tego przyjdzie? Jest ci obojętna zupełnie. Śmieszne!

I potem czuł w duszy pustkę, nerwy hulały, potem znów głuche ognie w piersi, tęsknota, rozpacz...

Ściemniało się. Julek wyszedł przed dom, zwolna wychodził za bramę. Cóż? wyjść na spotkanie, wyjeżdżając — nic naturalniejszego. Każdy by to zrobił.

Oko w oko spotkał się z Czesławą i Tecią. Stanęli wszyscy troje jak wryci. (Za nimi szedł Antek i Mania). Przytłumione wykrzyki, smutne miny...

Spokojne, prawie milczące (objektywne) podanie ręki. Jakieś banalne wyrazy.

Okazało się, że panienki nie przypuszczały, żeby Julek dziś wrócił i dlatego poszły do lasu. Były przygnębione, zaniemówiły.

Julka uchwyciła jakaś nieubłagana ręka za gardło. Nie mógł się jej pozbyć. Mówił z trudnością, drżały mu szczęki, zwierały się wciąż ze sobą.

Czesława miała takie dziwnie małe oczy.

Coraz bliżej domu. Już połowa klombu. Ona milczy, a on — a on? Co? Krzyczałby? Płakał? Padłby jej do nóg — tak tak — — —

Patrzał na jej rękę, zwisającą tuż koło jego dłoni, jak wtedy w lesie. Jeżeli tej ręki nie ucałuje, to umrze.

Tylko poruszyć ręką, to dotknie się tej jedynej dłoni.

Zostawali jakoś w tyle, za nimi Tecia wysuwała się naprzód, za nią Antek, Mania...

Zbliżało się to. Julek wciąż milczał. Otwierał usta — nie!

Byli już prawie pod werandą.

— Pan zaraz wyjeżdża? — spytała Czesława, jakby odrobinę zdyszana.

— Ja...

Przystanęli.

— Pan podobno wyjeżdża do Krakowa. Trzeba się dobrze zastanowić, czy chodzić na medycynę, czy do akademii. Pan ma taki talent... Nie trzeba się rozpraszać — prawda? Trzeba zawsze wiedzieć czego się chce...

Podała mu rękę.

Julek uczuł straszliwe potoki, dławiące mu serce, gardło... Coś rozciąga mu żyły. Głowę krew zalewa. Trzymał jej dłoń, patrzał w nią, wszystko inne nikło, nawet ona cała Czesława. Ta ręka w nim była, bolała go w piersi, w sercu. Stał się cały wezbranym potokiem, ginął, rozszarpywało go coś, cierpiał, czuł, że się dusi. Trzymał jej rękę — czas leci, leci, leci...

Jeżeli nie ucałuje tej ręki, to umrze.

A jednak...

Jeżeli nie ucałuje tej ręki, to umrze.

Nagle dosłyszał, zrozumiał, co powiedziała Czesława. Wydało mu się to prawie drwinami.

Błysk okropnej, śmiertelnej odwagi, oczy w ogniach.

— Jabym chciał... żeby pani wiedziała... czego ja od pani chcę!...

Twarz wykrzywiła mu się dziko. Prawie łkał. Jej ręka wysuwała się z jego dłoni. Trzymał rozpaczliwie. Podniósł wzrok.

Spojrzała na niego znowu dziwnie małemi oczami, odwróciła głowę...

— Do widzenia panu — rzekła miękko, wysuwając rękę zupełnie.

Julek coś w tym głosie odczuł, coś — ach — gdyby umiał, gdyby mógł wtedy myśleć.

Uciekł jak szalony w głąb ogrodu.

Jakoś potem zaraz wyjechał. Pamiętał tylko, że stryjenka, żegnając się z nim, spojrzała mu w oczy nieśmiało i bardzo się zaczerwieniła, jakby go o co prosiła...

— Dobrze, dobrze — odpowiedział jej machinalnie Julek.

Siadł w bryczkę, konie ruszyły...

Zaczął padać deszcz.



M. SOKOLNICKI.

Ze współczesnej literatury politycznej.

I. PRZYSZŁOŚĆ JAPONII [1])

W kim zainteresowania nie zbudzi pytanie: co zdziałała, co czyni Japonia po wielkiej wojnie? Nikt nic o tem pewnego nie wie. Wiadomo ogólnikowo, iż po wysiłku wojennym nastąpił czas organizacyi sił. Lecz w jakiej myśli państwowej i dla jakich światowych celów, o tem zupełnie głucho; zaś dobrze znaną solidarność i narodowa celowość życia i działań Japonii. W Europie, po dawnych entuzyazmach artystycznych, razem z podziwem dla wojny zjawiło się zainteresowanie się dla siły człowieczej — dla systemów wychowania, etyki, zasad społecznych i religijno-moralnych. W miarę odgłosów zwycięskiego oręża, rozbiegło się echem po Europie nazwisko mistycznego fantasty, misternego poety i cichego mędrca, Lafcadia Hearna. U nas równoległem, acz samorodnem zjawiskiem, stały się pisma Sieroszewskiego. Lecz co w tymże czasie, gdy tak długim oddźwiękiem idzie po świecie zwycięstwo japońskie, co czyni dziś Japonia?

Nie łatwo wiedzieć. Pod względem wojskowym naprzykład ścisłość oficyalnych danych podlega zawsze wątpliwościom. Pewnikiem jest tylko reorganizacya armii, równająca się podwojeniu takowej oraz budowanie dreadnought-ów i torpedowców, utrzymujące Japonię w rzędzie czterech mocarstw morskich — z Anglią, Niemcami, Ameryką [2]). Jak mało się o właściwem życiu politycznem wie i jak trudno jest coś wiedzieć, na to nadewszystko jest dowodem nowa książka francuska o „imperyalizmie“ japońskim. Jedna z niej istotna i nader ważna wyłania się wiadomość: Japonii cały wysiłek skierowany jest obecnie na kolonizacyę, handel i przemysł w szczególności kopalniany i metalurgiczny. Mądry ten naród, którego żywiołem, potrzebą i środkiem istnienia będzie zapewne długo jeszcze wojna, uznał za konieczne stworzyć ekonomiczne dla takowej podstawy. Pożyczki, zaciągnięte w Anglii i Francyi, otwarły możność. Wytężona praca narodu — podobna zagadnieniom, rozwiązywanym przez roje owadów — dała grunt. Rąk zaś nie zbraknie: w ciągu 23 lat ludność Japonii wzrosła z 39 do 62 milionów i powiększa się teraz corocznie o 800.000. Sił więc poddostatkiem; obrócono je, z pewnem może tylko stopniowaniem, we wszystkich wprost kierunkach.

Zwróciła się przedewszystkiem zawzięta ekspansya japońska ku wyspom Spokojnego Oceanu. Na Formozie już przed wojną rosyjską utwierdzona, sięgnęła dalej, na Filipiny, na wyspy Hawajskie, po azyatycko-australskie archipelagi. Z wysp prędko dotarli Japończycy na wybrzeża wielkich lądów: pasmami górskiemi w części odcięte brzegi zachodnie Stanów Zjednoczonych i Kanady, Kalifornia, zatoki Meksyku (Panama!), Peru, Chili, Republika Argentyńska i — aż nawet Brazylia (Parana!) stały się terenami wytężonej, celowej działalności. Wszędzie tenże plan: zawiązanie stosunków handlowych, objazdy konsulów lub delegatów specyalnych, tworzenie osad rybackich, kupieckich, lub rolniczych, oddzielnych skupień, bezwględnie samoistnych, zawistnie solidarnych, konsekwentnie wyzyskujących każdy kraj dla wskazanych z góry potrzeb i zadań posyłającej ich metropolii. Japończyk, jak chłop polski, wszystko co zarobi, odsyła do ojczyzny: lecz u niego ten zwyczaj jest jednym tylko z ciągłych przejawów świadomej celu, obmyślonej kulturalnej akcyi, narodowego przedsięwzięcia. Osady japońskie stają się natychmiast pośrednikami handlu i wszędzie, gdzie Japończyk nogę swą postawił, ze wszystkimi krajami i państwami, otaczającemi jego oceanowe panowanie, od lat sześciu handel wzrósł w dziesięćkroć. „Kulisi“ i chłopi japońscy nie posługują się w przewozach i t. p., jak tylko japońskiemi przedsiębiorstwami. Więc wskroś przez cały Ocean Spokojny, na morzach australskich, nawet na Atlantyku i Oceanie Indyjskim groźny konkurent niemieckich, angielskich i amerykańskich kompanii żeglowych codzień wzmaga się i zajmuje poczesne — albo nawet i pierwsze już miejsce. Twarde i zawzięte rodzą się konflikty w tej walce o byt na oceanach. Dufne w swym stanowym egoizmie i rasowej wyłączności robotnicze dominium Australii tamuje import nieproszonych przybyszy — woli przyrostu ludności całkiem się wyrzec: czy jednak długo potrwa ta dziwna opozycya przeciw siłom natury i rozpędowi mnożących się ludzi? Tymczasem groźniejszy zawisł konflikt z Ameryką: nie mówiono-ż już o zalewie Kalifornii i całej połaci, górami od centrów amerykańskiego życia oddzielonej? Na Hawai, na Filipinach w ruchach ludowych czuć było wyraźną rękę potężnych wyspiarzy; na Hawai liczba Japończyków sięga $^1/_3$ ludności, i gotowa, rozrósłszy do połowy, korzystając z amerykańskiego prawa o autonomii stanów chwycić władzę w swą rękę. Lecz najwięcej zagrożonym przez tych „obniżycieli płacy“ poczuł się i tutaj egoizm robotniczy: oto ludzie z mniejszemi potrzebami życiowemi, u których praca i obowiązek zastępuje ideały, niweluje zawiść stanów i tamuje chęć użycia — i ludzie, których imię jest — legion! Jakież zdziwienie ogarnąć może „rasy białe“ na niespodziany widok tych, których instynktem kierowniczym nie jest korzyść prywatna! Cóż się stanie dopiero, jeżeli cały aglomerat chiński zyszcze możność żądania tychże równych praw na rynku świata, jakie przeparła Japonia ogniem i żelazem i wyzyskała większą zdolnością do pracy i skromniejszą życiową potrzebą?

Zbyt dalekie to horyzonty „żółtego niebezpieczeństwa“. W istocie rzeczy myśl europejsko-ame-

---

[1]) Henri Labroue, L'Imperialisme japonais, Paris Delagrave, 1911.

[2]) Armia lądowa. Przed wojną 180 tys., na stopie woj. 850 tys. Obecnie wahające się informacye podają siłę pokojową około 250 tys., na st. woj. około $^1/_2$ miliona bagnetów; 19 dywizyi zamiast 13-u dawniejszych; projekt. wzmożenie armii do 25 dywizyi.

Flota wojenna. Japonia posiada 13 pancerników (7), 12 krążowników opancerzonych (8), 17 krącowników (12), 58 kontrtorpedowców, 51 torpedowców, 11 statków podwodnych. Dotychczasowe konstrukcye każą przewidzieć w r. 1916 flotę nową, złożoną z 13 wielkich pancerników (dreadnoughtów i t. zw. pancerników szybkich, 4 krążowników i 12 statków drugorzędnyeh.

rykańskiego kupiectwa tych horyzontów cywilizacyjnego znaczenia nie sięga wcale, a o „niebezpieczeństwach“ mówi nie z niepokojem o przyszłość wcale, jeno z aktualnego całkiem strachu przed konkurentem w żeglarstwie i handlu Dalekiego Wschodu. Obawy o Hawai i Filipiny, o handel chiński i australski, zagrożenie złotodajnej Kalifornii, nawet trwożne słuchy o kolonizowaniu okolic kanału panamskiego i niejasne pogłoski o dostarczeniu broni przez wyspiarzy powstańczym Meksykanom — to były akcesorya konfliktu. Gładka elastyczność dyplomacyi japońskiej obeszła arogancką pewność siebie Stanów Zjednoczonych. Japonia zatrzymała osiągnięte pozycye. Może jeszcze kiedy zaważą w pamięci mściwego narodu wspomnienia portsmuckie, a blizkie i dalekie wyspy skuszą chciwość zaborców. Tymczasem cały interes Japonii w pokojowej ekspansyi. Zaś punkt ciężaru leży gdzieindziej.

Nie zapominając o niczem innem, ni o kolonizacyi, żegludze i handlu aż w Argentynie i Paranie, ani o głęboko sięgających politycznych wpływach w Indyach, Persyi i Turcyi, całą intensywność olbrzymiego wysiłku zwrócili Japończycy na najbliższe wybrzeże azyatyckie. Tamte albowiem są to drogi wymiany — produktów czy sił; — ta zaś: — kwestyą gruntu pod nogami. Kolonizacya i opanowanie obu części Sachalinu, rosyjskiej i japońskiej — tak, iż skup jest tylko kwestyą czasu; sięgnięcie aż do Kamczatki i zupełne zawładnięcie połowem ryb na całem rosyjskiem wybrzeżu, dziś już w ustalonej angielskiej terminologii zwanem J a p a n S h o r e; budowanie spieszne sieci kolejowej na Korei (z górą tysiąc klm.), połączenie jej z Mukdenem i przerzucenie na wschodni brzeg półwyspu, gdzie porty Gensan i Chongchin, zabezpieczone zręcznem zaanektowaniem „pokojowem“ pogranicznej części Mandżuryi (Kanto), zniszczą znaczenie handlowe Władywostoku; pełne wyzyskanie przemysłowo-handlowych możności Mandżuryi i Korei; wielki plan skupu wschodnio-chińskiej kolei, pokojowego tym sposobem zaanektowania całej Mandżuryi, tymczasem zaś do tego prowadzące kolonizowanie miast, zagarnianie handlu, przygotowywanie środków strategicznych, jak we Władywostoku np., gdzie Japończycy stanowią już 1/10 część ludności miasta: — oto są główne kierunki rozwiniętej z niewiarygodną szybkością akcyi Japończyków za ubiegłych sześć lat. Rewolucya chińska przez uczniów imperyum japońskiego dokonana, Mongolię na rzecz Rosyi, Mandżurye na korzyść Japonii z orbitu chińskiego wytrącająca, jest najdonioślejszym wynikiem innych, a równoległych podziemnych działań najważniejszym etapem na drodze do kontynentalnej potęgi. Dlatego czasowa zgoda z Rosyą — na razie, do czasu, aż kultury armat zostanie wyuczony wielki lud chiński.

Cytujemy tylko wytyczne tej książki, którą się czyta jak romans fantastyczny. Zresztą w drugiej, najważniejszej swej części, o Chinach, Korei, Mandżuryi, koniecznych wymaga uzupełnień. Jest w niej coś jak gdyby przez jakąś własną cenzurę obcięte, a Japonii wrogie jakby w sposób komuś szczególnie dogodny. Czyżby tylko cierpiącym na konkurencyi, nie mogącym już „dzikich“ łupić bezkarnie kupcom europejskim na Dalekim Wschodzie? Czy przysługa to dla zaniepokojonego nad Newą alianta? Tak mogłoby się zdawać, gdy na wyraźną Rosyi korzyść Korea i jej los podziałowi Polski, Ito — Mikołajowi I-mu zostają przyrównani. Wszelkie jednak historyczne nieporozumienia na tle geografii Francuzów z góry wybaczyć należy. Trudniej darować zbyt śmiałe zdanie o religijnej obojętności i moralnym sceptyzmie Japończyków. Każda zresztą informacyjna książka tego rodzaju służy politycznym celom i jej wnioski należy zawsze wedle tych celów zrewidować, dane statystyczne można zestawić z tabelkami załączonemi w nowej popularnej książce Arnoux, a nadewszystko z dawniejszym ścisłym i sumiennym zarysem u Viallate'a[3]). Uwydatnia się w tych publikacyach wielki rozwój przedsiębiorczości narodowej, realistyczna przemiana w charakterze, jaką przepowiadał już Lafcadio Haern. Moralną wartość tej przemiany lepiej od globe-trotterów określił ów Chińczyk na konferencyi pokojowej w Lozannie w r. 1906-ym, mówiąc: byliśmy narodem pokojowym; czemużeście przyszli do nas i zagrozili wolności? Musimy stać się teraz dzikimi, jak wy.

Bez wątpienia, koło t. zw. wszechświatowej cywilizacyi naszej rozszerza się i Japonia nawija swą przyszłość na jej tryby.

---

3) Achille Viallate, L'A v e n i r é c o n o m i q u e d u J a p o n, Paris, Marcel Rivière 1907; Jules Arnoux, Le peuple japonais, Paris, Marcel Riviere 1912.

M. DĄDROWSKI.

Obrazki z Belgii.

Morlanwalz-Bruges 1. stycznia.

Po raz pierwszy przybyli do Belgii. Z pół setki ich, chłopa zgnanego z trzech zaborów Polski. Towarzystwo Emigracyjne wyrwało tych ludzi z pazurów hyen emigracyjnych.

Po raz pierwszy przybyli do Belgii — po pracę.

Roją się cudne sny pracownikom Towarzystwa. Uda się może Niemcom nowy Grunwald zgotować. Nie każdy w Polsce wie, że rolnictwo i przemysł w znacznej połaci państwa Bojaźni Bożej na polskiem wychodźtwie stoi; że gdyby raz jeden tylko owe pół miliona robotników rolnych z Polski wyemigrowało gdzieindziej, znikłaby na zawsze H. K. T. Stanęlibyśmy odrazu na stanowisku Alzacyi i Lotaryngii. Nie każdy w Polsce o tem wie, nie każdy w Polsce o tem wiedzieć chce.

Ekonomiczna klęska Niemiec, ruina butnych junkrów, wybijających zęby polskim chłopkom, ćwiczącym kańczugami zgięte polskie barki...

Polski robotnik-mściciel, polski chłop-mściciel.

Snuje się myśl, rozsnuwa pasmo marzeń na wrzecionie fantazyi.

Do kopalń Morlanwalz, Mariemont, Basse-Coup, w prowincyi Hainaut, przybyła polska emigracya chłopów-zarobników, wolnych najmitów.

Wybrałem się do nich.

* * *

Tedy, gdy noc jeszcze zimowa królowała w pełni, na zbór (*Reunion*) górniczy poszedłem. Stawała partya naszych po raz już drugi do pracy. Delegat Towarzystwa zaznajomił mnie z „ludem". Dawnom ich nie widział z blizka... w nocy.

Z lampkami górników, w kostyumach Meunierowskich rzeźb i obrazów, drobni, mali...

Świecą latarki górnicze, świecą oczy czarne, siwe, piwne, błękitne, oczy rodzone.

Pod ziemię! Węgiel łupać, by ogień wielki szedł po świecie, szalony, wielki żar, okrutny, ostry pęd. Stalowy pociąg opancerzony.

Kiedyś na fortach Komuny polski generał po raz pierwszy puścił w ruch pociągi opancerzone.

Szczęść Boże!

Spada z szaloną szybkością winda, w ocembrowany cegłą czarną grób, w studnię 600 metrów.

W głąb ziemi przenikam w szukaniu bracirodaków, w noc czarną, żałobną.

Ciągną się korytarze długie, przedługie. Jak robaczki świętojańskie majaczą w oddali latarki błędne. „Cug" przynosi pył-kir, powleka oczy, twarz. Dochodzą odgłosy dziwnych stąpań, zgrzytów, chrzęstów.

Sunie potworny płaz. Na czoło biedne konisko wystawił, oślepłe, potem śmierdzącym ziejące.

Korytarze niżej pobudowane, sklepienia coraz częściej z bali wygiętych, potrzaskanych pod naporem mas kamiennych. Hełm chroni głowę od bolesnych uderzeń.

Rzadziej już teraz szyny kolejki podziemnej, tramwaju piekielnego.

Już na pół zgięci w korytarzach zamykanych brniemy. Zrzuciliśmy wierzchnie ubrania. Jest gorąco, duszno. Węglowy pył pokrył wszystko.

Coraz częściej wagoniki węgla pcha człowiek.

Dotarliśmy do wnętrza prawdziwej kopalni.

Jak skałotocz wgryzł się człowiek w skałę czarną. Toczy węgiel, chleb przemysłu. Planowo, mądrze tu wszystko urządzone. W olbrzymią skałę podziemną, wgryzł się człowiek w kilkuset miejscach, wydarł trochę przestrzeni i może pracować, kuć, wiercić, pchać, windować. Jest wielka tajemnica we wnętrzu ziemi, tajemnica pracy.

Gdy tam, na powierzchni w fabrykach, hutach, na polu, staje zwarty huf do pracy, tu na placówkach rozrzuconych, po dwóch, trzech czasem w pojedynkę, wydziera człowiek swój kawałek chleba. O — tu niebo nie zajrzy, tu panuje piekło.

Na kolanach nieledwie dotarliśmy do małej kamery, na końcu pochyłego korytarzyka, o dwóch spadzistych torach kolejki łańcuchowej. Praca wre. Stalowe liny dobywają z głębi wagoniki węgla na małą platformę. Tu już czeka 2 pary rąk, by je skierować na tor pod prostym kątem, w korytarzyk boczny.

Et voici votre compatriote! Roześmiane oczy, gęba po polsku „ozwarta". Zagadałem po naszemu.

— O Jezu Nazareński, a dy panowie! — Właśnie przerwa w robocie. Francuskim białym chlebem częstuje i kawą belgijską.

Rozgadaliśmy się. Praca, jak praca. Robił już przecie w kopalniach pod Prusakiem. Tedy zamiast *tak* stale odpowie wam *o, jo.* Naród grzeczniejszy tu, niźli u Szwabów. *Kamrad* mówi i na piwo zaprosi i do tańca.

Dzwonek zajęczał nad uchem. Przewodnik odciąga w bok. Zawrzała ponownie robota. Chłopak z pod Tarnopola uwija się, jak inni. Trzech ich tu: Flamand, Walończyk i Polak. Trzy kultury, trzy rasy, cała Europa.

Dalej w głębiny, dalej...

W pewnej chwili duszność staje się nie do zniesienia. Wysiłkiem ostatnim wpełzam do kresu — do żyły otwartej węgla.

Czterech starszych górników — wszystko Walończycy, na wpół leżąc, ukośnymi uderzeniami kilofów krają żyłę.

Sączy się czarna krew, kawałami, gruzłami pada, oparem czarnym mdli.

Człowiek krew ziemi pije, chłepce.

Straszne.

Widzę czartów wcielonych. Czarni w łachmanach bielizny, czarnym ciałem prażą się w wysiłku.

Trzy metry kwadratowe wytrzebić, wyrąbać, wepchać na wózek.

Złożyli lancety okrutne. Z krótkiej rozmowy o Polsce pamiętam urywek:

— Dlaczego oni, *vos hommes*, przybywają, czy u was chleba brak, kopalń nie ma — pytali. Tu nam źle, płaca mała, a wasi szkodzić nam mogą.

— Nie jest tak łatwo temu zaradzić, drodzy towarzysze! Wy macie państwo swoje, wybraliście socyalistę do parlamentu, a przecie i od was, z Belgii, co rok, przeszło 70.000 emigruje w poszukiwaniu pracy do Francyi. Cóż dopiero my, rozdarci, podległi trzem rządom zaborczym.

Zmilkli, ponuro głowy zwiesili. *C'est vrai!*

Później mówili mi tam górnicy, iż „ci nowi", *polonais ou japonais,* dobrzy są i chętni do pracy i prędko pojmują, o co rzecz idzie. Niektórzy nawet rozmawiają z Flamandami.

W podziemiach chwila każda — droga. I znowu wpiły się lancety w żyłę czarną.

* * *

Wracam na światło dzienne, bogatszy o jedno doświadczenie, o kilka rozmów z rodakami w kopalniach belgijskich.

Polski chłop-mściciel, polski robotnik-mściciel.

Nadejdzie czas, nadejdzie czas!

W noc ciemną na zbór inny pośpieszą, w ręce ujmą broń, w podziemiach ukrytą, lonty smolne w naboje założą, chyłkiem wroga pozycyę otoczą, hasłem świętem do boju zakrzykną:

Nie zginęła, póki my żyjemy!

* * *

Nad starym Bruges zwisło niebo grudniowej nocy. W dzień złotem słońca, w noc srebrem księżyca a nićmi jasnych gwiazd haftuje czas sędziwe mury miasta, koronką ubrane.

Przedziwnie głosi godziny wiekowy *carillon.* Jest Noc Bożego Narodzenia. Na placu Krwi Przenajświętszej zbiera się, stygnąc w mrocznej mgle, różnolity tłum chłopów flamandzkich.

Sylwety mężczyzn odcinają się wyraźnie od czarnych bezkształtnych postaci kobiet. Stary ra-

tusz ginie w ciemnościach, groźna *Beffroi* utonęła w mgłach, które naprożno kusi się przebić światło kilku elektrycznych słońc *Grand' Place'u*.

Tłum wzrósł do kilku tysięcy.

Carillon obwieszcza wreszcie godzinę dwunastą. Bez krzyku, jęku, czy szlochów, w kamiennej ciszy klęka tłum.

Słowa modlitwy zamarły, cóż mówić o słowach pieśni-kolędy.

Jest coś nieodgadniętego w tej kamiennej modlitwie chłopów flamandzkich.

Podnosi się zwarty tłum. I znowu bez głosu, bez dźwięku ludzkiego, jeno tym klekotaniem sabotów o kamienne bruki śpiącego miasta przerywając ciężką ciszę, ponury huf wieści procesyę.

Nie ujrzysz księdza, krzyża, świecy, chorągwi...

Nad tłumem powiewa czarny sztandar nocy. Wysoko na niebie świeci gwiazda Betlejemska.

„Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!".

* * *

Bracia ukochani, z ziemi chełmskiej, bracia unici, bracia „poganie", bracia „do swego Boga idący", o was tej nocy pamiętać musiałem.

Bluźnierstwem dla was kolęda wesoła!

Moc wraża dawno truchleć przestała w noc Bożego Narodzenia.

Wam bracia na Krwawą Jutrznię z Bruges pamiętać należy.

Za was i od was wojna na ziemi polskiej rozpocząć się winna.

Wojna na ziemi ludziom „dobrej" i złej woli!



GRABOWIEC.

DREIKAISERBUND.

Wiedeń, 17. stycznia.

Skąd się to nagle pojawiło? Nieuchwytny gest, niedomówione słowo: „Dreikaiserbund!".

Jakiś ruch gorączkowy zapanował w sferach, uprawiających problemy polityki zagranicznej równocześnie z podjęciem przez Włochy zaboru Trypolitanii. Należało dokonać nowej oryentacyi wobec wypadku tego, należało rozprawić się z ogromem sądów i opinii jakie powstawały i wytknąć stanowisko dla siebie. Wśród odmętu ścierających się poglądów ten jeden, odosobniony z razu, syk: „Dreikaiserbund".

W stopniu wyższym, niż w polityce wewnętrznej obowiązuje metoda zachowawcza w traktowaniu zagadnień polityki zewnętrznej. Utrzymanie pokoju, które ostatecznie jest właściwem zadaniem rzemiosła dyplomatycznego, prowadzi za sobą użycie środków ostrożności i wyrozumienia. Im krytyczniejszy jest niespodziany jaki krok sąsiada, tem zapobiegliwsza reakcya. Tak nakazują postępować podstawne reguły dyplomacyi.

Hrabia Aerenthal mógł urządzić eskapadę z zaborem dwóch krajów cudzych. Przeszedł wszystkie dreszcze przesilenia międzypaństwowego, wydoił na monarchii pół miliarda koron, lecz kiedy rzecz niemal cudem się powiodła, wziął na umiarkowanie, ustatkował się i uspokoił. Wybryk ekspansyi włoskiej, wywołał zamęt wśród wywczasu. Zachodziła obawa rozniecenia pożaru ogólnego. Trzeba było przeszkodzić ewentualnościom, jakie się samemu wywołało przed trzema laty.

I słuszność nakazuje przyznać, że hr. Aerenthal bardzo energicznie stłumił możliwość przeniesienia iskry wojennej poza Trypolis. Kiedy flota włoska zaraz po upływie ultimatum, a więc 30. września, zaatakowała torpedowce tureckie pod Prewezą, austro-węgierskie ministerstwo zagraniczne zaprotestowało przeciw rozszerzaniu widowni wojny na Adryatyk. Próba dalsza popisów floty włoskiej pod Durazzo spowodowała krok jeszcze bardziej stanowczy. Hrabia Aerenthal zapowiedział włoskiemu ambasadorowi Avernie natychmiastową zbrojną interwencyę monarchii na wypadek ponowienia zaczepek na Adryatyku. Groźba poskutkowała. Książe Abruzzów ze swą flotą adryatycką się uspokoił; interwencya mocarstw innych przeszkodziła walce na morzu Egejskiem. Pożar wojenny zlokalizowano w Trypolisie i w odnodze arabskiej. Hrabia Aerenthal naprawił grzechy poprzednie.

Lecz robota pokojowa nie podobała się tej grupie wpływowej wśród sfer dworskich, którą nazwano tymczasem partyą wojenną. Mimo ścisłego określenia pojęcie nieuchwytne. Partya, koterya, klika... wojenna. Poza obrębem jakichkolwiek formalnych uprawnień politycznych partya ta olśniewa wyobraźnię kołtuna austryackiego legendą, że „sam" następca tronu jest jej głową widomą. On to skazany na cierpliwość, ma być funkcyonaryuszem niecierpliwości. Z usposobienia bigot, z dawna już nieprzychylnie spogląda na bezbożnika, który zaanektował... państwo kościelne, odebrał Lombardyę i Wenecyę, nie pozwala na rozszerzenie się ku Bałkanowi. Sojusznik włoski jest w oczach następcy tronu jedynym wrogiem monarchii.

Są to wszystko legendy — powtarzam — opowiadane półgębkiem, ale tem znamienniejsze, że pozostają w dziwnej harmonii z innymi objawami.

Bo oto równocześnie wytwarza się oskarżenie, że hr. Aerenthal zaniechał utrzymywania tkliwości przyjaznej z Rzeszą niemiecką. Na dowód przytaczają oziębłe zachowanie się Austryi wobec Niemiec podczas konfliktu marokkańskiego. Podczas kiedy Anglia swemu sojusznikowi, Francyi, pośpieszyła w chwili decydującej z wybitną pomocą, Austrya milczała. Wprawdzie milczenie to właśnie uchyliło widmo wojenne od Europy, ale obecnie da się wyzyskać do skonstruowania zarzutów prze-

ciw kierownikowi polityki zagranicznej. Kokietuje on z Włochami, a zaniedbuje Niemcy.

A kiedy na wszystkie te zarzuty pojawi się trwożliwe pytanie: więc jak ma być? — słychać wstydliwą odpowiedź:

Dreikaiserbund!

Koncepcye w obrębie stosunków międzypaństwowych są zawsze dotąd atrybutem włodarzy polityki zagranicznej. Opinie i nastroje ludności są czemś zgoła nieważkiem. Tworzy się sojusz, czy porozumienie, spisuje protokół, czy traktat, a potem, często po latach dopiero, jakowyś rąbek odwinięty zasłony dopuszcza wzrok do tajników ukrytych. Społeczeństwo tuczy krwawicą militaryzm, a nie śmie wpłynąć na jego przeznaczenie.

Tak i w tym razie.

Jakieś wojenne zachcianki, skierowane przeciw Włochom, są dla uczuć ludów monarchii czemś tak monstrualnem i wprost niepojętem, że szermowanie podobnemi hasłami zakrawa wprost na urągowisko praw konstytucyjnych i obywatelskich.

Lecz ten syk drugi, to słowo „Dreikaiserbund“, jest groźbą pełną ohydy reakcyjnej, jakiej ludy Europy już raz zaznały przed wiekiem. Coby znaczyło wznowienie „świętego przymierza“, tego Polsce nie wolno zapominać.

MICHAŁ PANKIEWICZ.

W SPRAWIE „PARANOI PARAŃSKIEJ“.

III.

Najsmutniejszą kartą w historyi kolonizacyi polskiej Parany są dzieje szkoły polskiej. Wielkie dążenia oświatowe musiały przezwyciężać tutaj nietylko zwykłą siłę bezwładu i znany konserwatyzm naszego chłopa, lecz przedewszystkiem szaloną, nieprzebierającą w środkach kontragitacyę kleru.

W walce ze szkołą kler, pomijając już ambonę konfesyonał, nie cofał się nawet przed obiciem nienawistnego nauczyciela (kol. Murięy). Kiedy w czasach późniejszych ambona i konfesyonał zaczęły zawodzić, a używanie kija, jako środka walki, stało się rzęczą niebezpieczną, kler zaczął sam otwierać szkoły, zamykając je natychmiast po zgnębieniu szkoły konkurencyjnej. Widząc wreszcie że żadne środki nie pomogą i że tak, lub inaczej szkolnictwo robi postępy, sprowadził siostrzyczki z towarzystwa Sióstr Rodziny Maryi, które dzielnie pomagają ojcom w okajdanianiu życia.

Przed ośmiu jednak laty nawet siostrzyczki na gruncie parańskim były uważane za element niepożądany, bo p. Kazimierzowi Warchałowskiemu, który osobiście czynił starania w Krakowie o wysłanie siostr do Parany odpowiedziano, iż one są tam zbyteczne.

Wspaniałą illustracyę wpływu kleru na rozwój szkolnictwa polskiego może służyć następująca historya. Na jednej z największych polskich kolonii Rio-Claro niezależny ks. Stankiewicz, korzystając z nadzwyczajnych żdzierstw i ciągłych zatargów z kolonistami miejscowego proboszcza, ks. Przytarskiego, założył w r. 1907 konkurencyjną kaplicę. Ceny wszelkich posług religijnych, jak w każdym handlu, gdzie konkurencya wre na dobre spadły do minimum. Z ambon posypał się stek najordynarniejszych wymyślań: ks. Stankiewicz opowiadał o wszystkich brudach, szelmostwach i żdzierstwach ks. Przytarskiego, a ks. Przytarski znowu o wszystkich łajdactwach ks. Stankiewicza. Z początku koloniści, chcąc się dowiedzieć, który jest z nich mocniejszym w języku ciekawie słuchali kazań obydwuch. Później jednak znudzili się, księży wyrzucili, a u drzwi kościelnych zawiesili mocne kłódki.

Po usunięciu księży szkoły ożyły. Liczba uczniów się podwoiła. Powstało parę szkół nowych. Niestety te błogie czasy trwały zaledwie jedenaście miesięcy, albowiem biskup wspólnie z c. k. austryackim konsulatem po długich targach z kolonistami przysłał im c. misyonarza Kondorę, który zmniejszył wnet liczbę szkół o połowę. Nigdy przedtym ani potym, szkoły na Rio-Claro nie osiągnęły takiego stopnia rozwoju, jak podczas bezkrólewia kleszego.

Niemcy, wśród których kler nie posiada takiego znaczenia, osiągnęli na polu szkolnictwa rezultaty wprost zdumiewające. Według tygodnika „Deutsche Zeitung“, wychodzącego w S. Paulo liczba szkół niemieckich w Brazylii wynosi koło 600, w tym 4 szkoły z 1143 uczniami o zakresie wyższym od średniego. Jedna z nich, szkoła realna w Rio-de-Janejro, między swymi 315 uczniami liczy 118 Brazylian. Wogóle do szkół niem. wszędzie pominąwszy już S. Katarynę, gdzie niemczyzna stoi u szczytu potęgi, uczęszcza sporo Brazylian. Pociąga ich przedewszystkiem wysoki poziom szkół niemieckich, a brak wszelkiej różnicy w prawach między szkołą rządową a prywatną ułatwia szkole niemieckiej zwycięską konkurencyę ze szkołą państwową.

Szkoła prywatna przeto o ile z dołu zapewni sobie trwały byt materyalny ma nieograniczone pole rozwoju. Jest to fakt pierwszorzędnego znaczenia, ponieważ ułatwia bardzo stworzenie szkoły ściśle przystosowanej do naszych potrzeb, a taką stanowczo nie może być szkoła rządowa, chociażby polska np. galicyjska szkoła wychowała całe pokolenia c. k. austryackich biurokratów. Przytem szkoła prywatna łatwiej przystosowuje się do nowych warunków życia i przy sprzyjających okolicznościach, np. w Anglii, zbliża się prawie do ideału.

Nie to więc jest smutnem, że szkoła polska w Paranie jest szkołą prywatną, lecz to że szkół jest mało i że istniejące bardzo często nie stoją na wysokości zadania. Jest to skutek nieuznawania emigracyi przez nasze społeczeństwo i pozostawienie samego wychodźtwa na pastwę losu i kleru.

Niemcy, Francuzi, Włosi i t. d. stworzyli potężne instytucye („Deutscher Verein“, „Alliance Francaise“, „Dante Alighieri“) normujące ruch emigracyjny i krzewiące kulturę rodzimą na całej kuli ziemskiej.

W końcu września roku bieżącego odbył się w Rzymie Kongres „Dante Alighieri“, towarzystwa dla rozpowszechniania włoskiej kultury i języka. W kongresie wziął udział cały świat polityczny i naukowy Włoch: ministrowie, deputowani, profesorowie uniwersytetów i t. d. Ze sprawozdania, odczytanego na kongresie, dowiadujemy się, iż liczba komitetów lokalnych t-wa wynosi 228, liczba członków — 58.500, dochód roczny — 397.666 franków, rozchod — 212.523 franków, majątek — 844.427 fr. W roku bież. T-wo założyło średni instytut włoski w S. Paulo, kosztem pół miliona franków, w tym 200 tysięcy, ofiarowanych przez przemysłowców i handlowców włoskich z S. Paulo. Dzięki „Dante Alighieri“ więź między wychodźtwem włoskim a starą ojczyzną jest dzisiaj nierozerwalną.

Społeczeństwo nasze w innych warunkach się znajduje; nie może wydawać tysięcy na zakładanie szkół za oceanem, nie mając ich na szkoły w kraju, ale wnieść pewną planowość do żywiołego ruchu emigracyjnego może i powinno.

Bo czyż tak trudną jest rzeczą wskazać masom ludowym dokąd emigrować należy?

Czas chyba położyć kres dotychczasowemu rozpraszaniu się po świecie, tym zgubniejszemu, że lud żywiołowego ruchu emigruje w jedną stronę, a intelligencya — w drugą.

Lud swoją ciężką pracą fizyczną na zachodzie stwarza materyalne podłoże dla cudzych kultur, umożliwia ich rozkwit niezwykły, inteligencya zaś na wschodzie stworzy kulturę obcą wzmacnia jej siłę atrakcyjną, jest pionierom tej kultury wśród plemion Syberyi i Kaukazu, z których następnie bardzo często rekrutuje się biurokracya w królestwie.

Znaczenia naszej intelligencyi na wschodzie stanowczo nie doceniamy. Wyrosłem na kresach, miałem możność zaznajomienia się z życiem rosyjskim, literaturą i prasą. I właśnie z rosyjskich źródeł nabrałem należytego wyobrażenia o kulturtregerskiej roli naszej intelligencyi na wschodzie. Zapoczątkowała ją przymusowa emigracya po r. 63. Syberya i gubernie nadwołżańskie były terenem jej ówczesnego wpływu, który przetrwał po dziś dzień. Pierwszorzędny rosyjski publicysta Pieszechonow, znalazłszy się przypadkiem w jakiejś dziurze nad Wołgą został nadzwyczajnie żdziwiony wysokim poziomem muzykalnym mieszkańców, traktujących muzykę z wielkim odczuciem i pietyzmem. Zasługa wzbudzenia takiego zamiłowania do muzyki należała do zesłańca z r. 63. (Ruskoje Bogactwo.)

Rola naszej intelligencyi na Wschodzie z biegiem czasu wzrastała coraz bardziej. Interesujących się odsyłam do pracy W. Sieroszewskiego, ogłaszanej początkowo w Biuletynie emigracyjnym a następnie w Polskim Przeglądzie Emigracyjnym.

Gdyby Parana otrzymała choć nieznaczną cząstkę tych sił intelligenckich, które ciągle wysyłamy do Rosyi, mielibyśmy dzisiaj szkolnictwo niższe i średnie, subwencyowane przez rząd, uniwersytet ludowy, bank polski, handel, przemysł i t. d., odgrywaliśmy także poważną rolę polityczną.

Pewna niezależność ducha, poczucie godności własnej i rozmach Kolonisty, w połączeniu z twórczą działalnością i intelligencyą cuda by sprawiły. Zmiana bowiem w psychice wychodzcy nie jest czczym twierdzeniem lub urojeniem t. z. paranofilów, lecz faktem. Na kolonii Nowej—Galicyi mamy dwuch znanych złodziei z Radyńskiego, którzy byli plagą całej okolicy. Tutaj są zupełnie porządnymi ludźmi i pracowitymi bardzo. Obaj posyłają dzieci do szkoły i obaj należą do T-wa polskiego, a jeden z nich uczęszcza nawet na kursy niedzielne.

Lecz cóż, kiedy w ślad za wychodźcami wybrał się do Parany jedynie kler, który jeszcze od Stanisława biskupa wywodzi tradycye zdrady narodowej, którzy przez usta swych najwybitniejszych przedstawicieli (np. Skarga, główny burzyciel pokoju w Rzeczy pospolitej), zawsze głosił iż powinniśmy troszczyć się o ojczyznę niebieską a nie ziemską, co nie przeszkadza korzyć mu się jednocześnie przed możnymi tego świata. W Paranie kler „polski“ — jedyny wyjątek stanowi ks. Anusz — pozostał wiernym swym starym tradycyom, prowadził i prowadzi namiętną walkę ze szkołą polską, nie tykając zupełnie portugalskiej, chociaż właśnie ta jest par exeellence bezwyznaniową, lecz szkoła portugalska jest szkołą rządową, a zadzierać z rządem jest rzeczą niezbyt bezpieczną. Znacznie później przyjechało do Parany trochę pseudo intelligencyi, która wyrobiła sobie w najlepszym razie opinię próżniaków i włóczęg. Prezes jednego z towarzystw oświatowych pod Kurytybą poszukiwał nauczyciela do szkoły temi sławy: „A czy nie znasz tam jakiego próżniaka na nauczyciela.“

Stosunki wzajemne t. z. inteligencyi znakomicie określił „Polski Przegląd Emigracyjny“ z dnia 30 lipca roku bież. pisząc: „Niema chyba zakątku na świecie, gdzieby ludzie mający pewien zasób wykształcenia, lub przynajmniej pretensyi w tym kierunku i należący do pewnej narodowości, podzieleni byli na tyle drobnych grupek, nawzajem się tak zacięcie zwalczali, tak śmiertelnie nienawidzili, tak ohydnie obrzucali się błotem oszczerstw i potwarzy, jak się to dzieje wśród intelligencyi parańskiej“.

W ostatnich czasach, dzięki napływowi acz bardzo powolnemu prawdziwej intelligencyi stosunki zaczynają się zmieniać i są pewne oznaki iż może w niedalekiej przyszłości skonsoliduje się grupa postępowo-radykalna, a wtedy Polonia parańska może się poszczyci nietylko dobrobytem kolonistów i zwycięstwem nad dziewiczą przyrodą. Jednocześnie zrozumienie istoty emigracyi wśród społeczeństwa w kraju wzrosło znacznie. Gorączka brazylijska lat 1887—1892, która obdzieliła obficie wszystkie stany Brazylii, a zwłaszcza hojną była dla Rio-Grande-de-Sul, hojniejszą nawet niż dla Parany nie powtórzy się więcej (historya dwa razy się nie powtarza), natomiast powstaje już mniej lub więcej świadome skierowywanie ruchu emigracyjnego do Parany, jako kraju posiadającego najlepsze warunki do skoncentrowania naszego osadnictwa.

Pan Kurnatowski zupełnie niesłusznie przeciwstawia planowej działalności na polu emigracyi kolonizacyę wewnętrzną kraju, twierdząc iż musimy przedewszystkiem wytworzyć jednolity organizm narodowy o wszystkich warstwach społecznych. Właśnie planowa działalność emigracyjna uzupełnia kolonizacyę wewnętrzną, bo przecież praca nad wytworzeniem jednolitego organizmu na-

rodowego nie upoważnia do tracenia sił już istniejących, które, rozpraszając się, giną dla kraju, bo praca ta nie unicestwi odrazu emigracyi, bo wreszcie są ludzie, których według opinii nawet gubernatora piotrkowskiego, nędza, drożyzna utrzymania i brak pracy (Nowa—Reforma 15 sierpnia 1911.) pędzą do tajg syberyjskich.

Społeczeństwo nasze przeżywa obecnie okres demokratyzacyi we wszystkich dziedzinach życia: stara warstwa szlachecka i kler ustępują z widowni, chłop i robotnik biorą na swe barki ciężar życia narodowego i wszelkie zagadnienia z nim związane.

I dlatego fakt głębszego zainteresowania się Paraną w chwili obecnej nie jest zjawiskiem przypadkowym, lecz naturalnym wynikiem tego procesu demokratyzacyi i dlatego nad wszelkiemi paranoiami antyparańskiemi, chociażby opartemi na komunikatach T-wa Opieki, życie przejdzie do porządku dziennego. *Michał Pankiewicz.*

Brazylia, Parana, Nowa-Galicya 15 paźdz. 1911.

Już po napisaniu artykułów w sprawie „paranoii" rząd rozpoczął kolonizacyę na wybrzeżach Ivahy. Na obszarze kolonizowanym będzie koło 2.200 gospodarstw.

Kolonizacya Floresty została pomimo wysłanych tam 68 rodzin polskich zaniechana ze względu na katolików siedzących na Floreście i nierugowanych przez właściciela od lat 30-tu.

Ruch emigracyjny do Parany po dwumiesięcznej przerwie wznowił się: dnia 29-go września wylądowało w Paranagua, porcie Parany 292 osoby, a 30 października — 1.800.

Bezpłatny przejazd do Parany został zniesiony najwyżej do końca roku 1911, później zaś zostanie otwarty na nowo.

Nowa—Galicya 20. listopada 1911.

NEMO.

Tryumf „rozwichrzonych jednostek".

„Z niemniej gorącym apelem zwrócić się muszę do do Wysokiego Sejmu w sprawie polepszenia bytu nauczycieli szkół ludowych, którzy jako najmniej płatni z pośród wszystkich funkcyonaryuszów publicznych cierpią dziś najdotkliwiej pod wpływem powszechnej drożyzny. Sejm zastrzegł sobie inicyatywę w tej sprawie, a mając przedłożone sobie obrachowania Rady szkolnej krajowej, mogąc każdej chwili zażądać dalszych, może w krótkim przeciągu czasu sformułować postanowienia, które, licząc się ze spodziewanym dochodem przy sanacyi finansów krajowych, odbiją się wdzięcznym echem 14-tysięcznej rzeszy nauczycieli ludowych, która, pomijając nieliczne rozwichrzone jednostki, jest w tym kraju elementem „ciężkiej pracy i publicznego spokoju."

(Z mowy namiestnika Dra Bobrzyńskiego w dniu otwarcia Sejmu.)

Historya jest nauczycielką narodów, ale nie poszczególnych ludzi. Są jednostki, zamujące się nawet badaniem dziejów przeszłości, mimo których fakta historyczne przechodzą przecież bez wywierania jakiegokolwiek wpływu na ich umysłowość, — jednostki, które nigdy niczego z przemian dziejowych się nie nauczą, lubo pochopne są do uczenia drugich. Nie będziemy się spierali o istotę przyczyn tego ciekawego zjawiska: czy jest to upór, czy pewnego rodzaju lenistwo umysłowe, nie pozwalające objąć całokształtu historycznych przekształceń społeczeństwa, stwierdzamy tylko istnienie samego faktu i uplastycznimy go na przykładzie z ostatniej chwili.

Panu Bobrzyńskiemu, wyobrazicielowi urzędowej formy „Piemontu polskiego" przypadło w udziele miano „historyka", jako że przez szereg lat zaznajomiał młodzież Jagiellońskiej wszechnicy z „chronologią" historycznych wydarzeń i ujął je w nawet w „Zarys" swych własnych poglądów i stąd słowom jego, wypwiadanym na zebraniach publicznych przypisują powszechnie „historyczną wartość". Takiem więc były i słowa wyrzeczone w Sejmu w sprawie nauczycielskiej, a przytoczone przez nas na czele niniejszego artykułu.

Nawet w chwili tak doniosłej jak otwarcie Sejmu, nawet w kwestyi tak ważnej, jak uregulowanie stosunków prawnych nauczycielstwa nie potrafił „pierwszy obywatel kraju" stanąć na objektywnym gruncie, lecz musiał dać upust swym osobistym animozyom i skoszlawionym poglądom „historycznym". Nauczycielstwo — to według opinii p. namiestnika „element ciężkiej pracy i publicznego porządku"... ale z pominięciem... „rozwichrzonych jednostek." Stwierdza więc i to z urzędowego stanowiska, z trybuny parlamentu krajowego, że jednostki takie istnieją, piętnuje je mianem wrogów „publicznego porządku", niedwuznacznie im grozi i ostrzega przed nimi społeczeństwo.

Historyk krakowskiej szkoły, która głosi, że
„Kościuszko to był waryat,
„co buntował proletaryat",
członek narodowej straży pożarnej, która gasi każdy zapał i uniesienie, wyjrzał zbyt wyraźnie i zbyt otwarcie z tych słów. Historya niczego pana Bobrzyńskiego nie nauczyła. Stojąc u steru krajowej władzy, grozi publicznie w rozwichrzonym jednostkom", niepomny, że groźba o napór żywiołowej fali przełamać się musi i że te „rozwichrzone jednostki" właśnie torowały drogę w każdem społeczeństwie — Prawdzie, wolności i duchowi postępu. „Rozwichrzonemi jednostkami" u nas byli twórcy wiekopomnej konstytucyi 3-go maja, zorganizowani w formalne oprzysiężenie przeciw istniejącemu „porządkowi publicznemu",— „rozwichrzone jednostki" podniosły później chłopa polskiego do godności rycerskiego stanu na polach Racławic i Maciejowic, — rozwichrzone jednostki" walczą dziś z panowaniem przywileju, z przemocą kast, z ohydą trójlojalizmu, z wiernopoddańczem piętnem niewoli współczesnego człowieka...!

Dzisiejszy „porządek publiczny" a specyalnie porządek galicyjski to wstyd i anomalja naszego stulecia, przeciwko któremu organizować trzeba siły narodu i zbrojny hufiec prowadzić na bój.

I tę misyę przyjmują na siebie dzisiejsi nauczyciele ludowi, kształciciele dusz przyszłego pokolenia, budowniczowie „przyszłości narodu," którzy idąc na wielki krajowy wiec, głosili publicznie:

„Nie zejdziem z pola, bo los nasz
„Na twierdzach stać i czuwać,
„Niezłomnie, chlubnie pełnić straż
„I wstęgi zórz rozsnuwać...
„I dobro zdobyć własnych chat,
„I dolę wwieść w próg ludu,
„Gdy tam pod lipą tyle lat
„Czekają darmo cudu..."

*

Tego to bojowego wezwania ulękli się możnowładcy naszego kraju, ten znamienny ruch wśród nauczycielstwa wycisnął na usta namiestnika obelgę, rzuconą pod adresem nauczycielstwa: „rozwichrzone jednostki!"

Ale obelga urosła do znaczenia dostojeństwa, a niedzielny wiec manifestacyjny był świetym tryumfem „rozwichrzonych jednostek".

Wiecu takiego Lwów jeszcze dotąd nie oglądał. Zjechało się nań z górą dziesięć tysięcy naunauczycielstwa z całego kraju a powaga obrad, męska, energiczna obrona zawodowych postulatów, zapał i jednogodność w ich uchwalaniu, zaimponować musiały nawet przeciwnikom tego wydziedziczonego stanu.

Na wiec przybył liczny zastęp posłów wszystkich stronnictw, między nimi nawet przedstawiciel konserwatywnej większości sejmowej, w własnej osobie syn p. marszałka poseł Stanisław Henryk Badeni. Snać fala ruchu ludowego uderzyła już nawet w ten gmach, pod którego dachem reprezentami przywileju siedzieli dotąd spokojni i bezpieczni.

Wszyscy posłowie prześcigali się w wyrazach sympatyi i przychylności dla nauczycielstwa, tak że gdyby z słów można wykuć kształt realny, nauczycielstwo byłoby dziś najlepiej materyalnie wyposażonym i moralnie cenionym stanem społecznym. Nie chcemy wszystkich „reprezentantów narodu" odrądzać od szczerości uczuć i przyrzeczeń, ale zaprzeczyć się nie da, że na taki pomyślny zwrot oddziałała przedewszystkiem solidarność nauczycielska, ich liczebnie przedstawiona siła, która dziś świadoma siebie, zaważyć może decydująco i na szali politycznej. A wybory może niedaleko...!

W krótkim artykuliku nie mamy zamiaru opisywać przebiegu obrad, jeden wszakże moment nadający charakter całemu wiecowi nauczycielskiemu, koniecznie podnieść należy.

Momentem tym jest nieufność do dzisiejszej autonomii kraju. Nauczycielstwo przez usta swych referentów stwierdziło dobitnie że ceni i gotowe jest bronić austronomii kraju, ale nie chce, by autonomia ta, oparta na panowaniu warstw uprzywilejowanych miała stać się kiedyś „przekleństwem następnych pokoleń". Nauczycielstwo pragnie autonomii, ugruntowanej na jak najszerzej zdemokratyzowanym ustroju społecznym, na powołaniu szerokich warstw ludowych do udziału w rządzie krajowym.

I w tym momencie, decydującym o pomyślności doli nauczycielskiej, na pustych słowach p. marszałka, choćby w najgrzeczniejszej wypowiedzianych formie, przyszłości i daleko idących nadziei budować nie można. Ale budować ją można i należy na ideowej pracy nauczycielskiej, która w zespoleniu z prądem czasu, zmieni dzisiejszy, zachwalany przez p. namiestnika „porządek publiczny", — wspomagać i błogosławić należy porywom „rozwichrzonych jednostek", które stworzyły opozycyjny ruch wśród nauczycielstwa w celu wyzwolenia go z pod supremacyi galicyjskich oligarchów i położyły podwaliny pod potężną organizacyę zawodową, będącą zapowiedzią tryumfu i zwycięstwa.

WŁ. STUDNICKI.

PRZYMIERZE STAŃCZYKOWSKIE Z UGODOWCAMI ZABORU ROSYJSKIEGO.



Przymierze stańczyków z ugodowcami zaboru rosyjskiego istnieje od lat kilkunastu. Nie było go na początku ery konstytucyjnej, kiedy twórcy kierunku stańczykowskiego zwrócili się o artykuł programowy do Ziemiałkowskiego, znanego przeciwnika Rosyi i ten sformułował sojusz austro-polski dla wyjarzmienia zaboru rosyjskiego (patrz Nr. 1 „Przeglądu Polskiego" r. 1866). Lecz w r. 1905, gdy p. L. Jaworski w książce zbiorowej „Odrodzenie Galicyi" cytował ów artykuł, moskalofilstwo zaboru rosyjskiego było tak ściśle spojone ze stańczykieryą, że p. Jaworski sfałszował cytaty z tego artykułu, zostawiwszy z niego tylko nawoływania do lojalizmu względem Austryi i, chociaż ówczesny wydawca „Czasu", Andrzej Potocki, nic innego nie chciał powiedzieć umierając, jeno to, że jest oddany cesarzowi austryackiemu, zmarły namiestnik nie zapominał nigdy, że ma majątki w Rosyi i był wielokrotnie zarówno carskim, jak i cesarskim. Carskim nie tylko przez popieranie moskalofilów ruskich, ale przez to, że „Czas" uczynił organem politycznego moskalofilstwa polskiego. Drugim źródłem moskalofilstwa polskiego w Galicyi był minister zagraniczny, Gołuchowski, nieudolny syn dzielnego ojca. Był to okres, kiedy Austrya wobec ruchu wszechniemieckiego, niepokojącego sfery, kierujące jej polityką i braku aktywności Rosyi na Bałkańskim półwyspie szukała zbliżenia się z Rosyą; obawiano się, że Polacy będą czynili trudności tej polityce i za to zrobiono ministrem Polaka, wiedząc, że będzie on narzędziem oddziaływania na opinię polską. Skutek przewyższał nie tylko oczekiwania, ale granice pożądania sfer austryackich, które już w r. 1904 zaniepoko-

iło moskalofilstwo polskie w Galicyi. „Gazeta Narodowa“, gdy była na utrzymaniu u namiestnika Pinińskiego, protegowanego Gołuchowskiego, była krzewicielką moskalofilstwa, a sekundował jej „Dziennik Polski“ i „Przegląd“. Zrobiono wprost spustoszenie naszego kapitału politycznego, dorobku naszej historycznej świadomości. Gdy obecnie mamy tak częste procesy wojskowe o szpiegowstwo na rzecz Rosyi i w nich zdarza się od czasu do czasu udział Polaków galicyjskich, zawsze wówczas myślę, że nietylko ci pociągnięci do odpowiedzialności są winni, ale winni są też ci, którzy stworzyli moskalofilstwo polskie w Galicyi: Potocki, Gołuchowski i Piniński.

Od czasu, gdy narodowa demokracya w Królestwie stała się ugodową partyą, „Słowo Polskie“ organizacyjnie przez pp. Wasilewskiego i Stanisława Grabskiego związane zostało i z „dmowszczyzną“ w Królestwie i kursem ugodowym Koła Polskiego w Dumie.

Kurs moskalofilski w prasie galicyjskiej zanika od czasu pogorszenia się stosunków austro-rosyjskich. Lecz dawny okres zaciążył w chwili decydującej w r. 1909. Wówczas to „Czas“ ogłosił Bartka Zwycięzcę, jako ideał polityczny narodu polskiego. Dziś w „Czasie“ bardziej niż w innych organach prasy galicyjskiej przejawiają się inspiracye moskalofilskie. Korespondentem „Czasu“ z Petersburga jest człowiek Józefa Potockiego, p. Kutyłowski, który w swym czasie, kiedy Polacy nie mieli prawa kupowania majątków na Litwie i Rusi, pośredniczył w sprzedaży majątków i o mały włos nie został za to usunięty z grona adwokatów. Inspiratorem „Czasu“ w sprawach zaboru rosyjskiego jest p. Straszewicz, który niedawno powstał w „Kurjerze Polskim“ przeciw twierdzeniu odezwy Koła Polskiego w Wiedniu, że tylko w Austryi wolno nam być narodem i twierdził, że tylko przy łączności z Rosyą możemy zabezpieczyć sobie byt narodowy. P. Straszewicz jeździ często do Krakowa dla konszachtów politycznych z „Czasem“, był niedawno w Krakowie i nie pozostało to bez skutku. „Czas“ zamieścił głosy ugodowców z Królestwa przeciw wiecom chełmskim i akcyi chełmskiej w Królestwie, nazywając to opinią Królestwa.

Któż nie wie, że opinia Królestwa nie może swobodnie wypowiedzieć się w danej sprawie, że uczciwsze organy są skazane na zamilczenie swych poglądów na wiece chełmskie, które są objawami antyrosyjskiej akcyi w Galicyi, wytwarzają oryentacyę antyrosyjską, leczą naszą świadomość narodową, od dawnego jej zamącenia przez Potockich i Gołuchowskich, są czynnikiem pogorszenia stosunków austro-rosyjskich.

Cała relacya „Słowa“ (warszawskiego) i „Głosu Warszawskiego“, podana przez „Czas“ w sprawie chełmskiej, jest obliczoną na nieznajomość tej sprawy w Galicyi i na utrudnioną polemikę prasy Królestwa.

Nieprawdą bo jest, że istotnymi obrońcami sprawy chełmskiej są dziś posłowie Polacy w Dumie rosyjskiej. Najpierw ich obrona nie przyda się na nic. Sprawa odcięcia Chełmszczyzny już jest dawno przesądzoną w Dumie rosyjskiej. Duma trzecia nie odrzuciła żadnego wniosku rządu, komisya Dumy pogorszyła na naszą niekorzyść projekt rządowy. Nie są dla nas wiece chełmskie pogrzebami sprawy chełmskiej, pogrzebami Chełmszczyzny, gdyż wiemy, że obcięcie Królestwa, wyjątkowe rusyfikacyjne eksperymenty, jakie staną się udziałem tego kraju, nie powinny zakończyć naszej walki o obronę jego polskości. Walka ta wymaga, aby mocno zarysowała się w świadomości naszej narodowej sprawa chełmska. Nie można urządzać wieców w Królestwie, chcemy, aby echo wieców galicyjskich przeszło za kordon, chcemy, aby zabrzmiał głos w tej sprawie na trybunie parlamentarnej Wiednia. Wiemy, że może on zrodzić otuchę, która jest czynów rodzicielką.

Przeciwdziałając wiecom chełmskim, Koło polskie w Dumie rosyjskiej, ugodowe pisma warszawskie „Słowo“ i „Głos Warszawski“, oraz sekundujący im „Czas“ służą nie naszej sprawie, ale zawsze są solidarne z „Nowem Wremiem“.

Rosya pragnie, aby operacya chełmska przeszła bez wrażenia na nas. Dla odwrócenia naszej uwagi, rząd rzucił projekt samorządu miejskiego i dał mu cechy antysemickie, aby poróżnić nas z opozycyą rosyjską, na którą Żydzi mają wpływ. Koło Polskie w Petersburgu poszło na wędkę rządu. Chce ono przejść do spokojnego obrabiania drobnych spraw, interesów niemal jednostkowych, robi wielki obrót małymi śledziami, pragnie ugody za każdą cenę, a więc wiece chełmskie są mu niedogodne, interpelacya w Wiedniu niepożądaną.

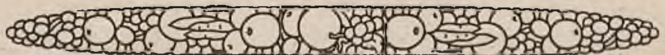
Koło polskie w Petersburgu obniżyło swem zachowaniem się poziom sprawy polskiej w oczach Rosyan. „Przypatrując się Kołu polskiemu w drugiej i trzeciej Dumie, przychodzę do wniosku, że nahajka to rzecz dobra, byle by nie w rękach pijanych“ — powiedział jeden z wybitnych październikowców.

Co reprezentują posłowie polscy w Dumie rosyjskiej?

Są oni cząstką organu obcej państwowości, produktem ordynacyi wyborczej nie przez nas urobionej, nie będącej wyrazem naszej świadomości, ani układu naszych sił społecznych. Są oni nam narzuceni przez stan wojenny, przez wybory bez dyskusyi, bez wolności słowa, są obrani przez znaczną mniejszość narodu, bo większość nie brała udziału w wyborach, chociaż za artykuły, propagujące bojkot Dumy, skazywano w Warszawie na rok twierdzy. Jeżeli zbiurokratyzowanie życia publicznego wychodzi na złe narodom o samodzielnym bycie państwowym, tembardziej musi być ono szkodliwem dla narodu politycznie ujarzmionego. Nie posiadając własnych organów państwowych, winien on świadomość i aktywność jak najbardziej rozszerzyć, rozlać po całym swym organiźmie, a nie polegać na tem, że zrobią to ci, których państwo zaborcze do roboty powoła.

Następnie, kto nam odmawia prawa zajmowania się sprawą chełmską, dlatego, że jesteśmy w Galicyi, ten utwierdza zabory, uznaje je już nie jako fakt, ale jako moralno-polityczny nakaz.

Graniczymy tak samo z Chełmszczyzną, jak wiele miejscowości Królestwa, mamy takież same prawo i obowiązek bronienia jej polskości. Niezbyt dużo, ale zbyt mało Galicya, zwłaszcza zachodnia, zajmuje się Chełmszczyzną.



SILVA RERUM.

CIEKAWA ENUNCYACYA P. GŁĄBIŃSKIEGO. Na zgromadzeniu, mającem omówić sprawę założenia organizacyi narodowej w Kołomyi, odbytem w dniu 7. b. m. przemawiał zaproszony na wabika przez tamtejszych endeków, ekscelencya Głąbiński, przedstawiając stan sprawy polskiej w obecnej chwili. Z mowy ogółem bardzo mdłej, zasługuje na uwagę tylko ciekawe wynurzenie dymisyonowanego Mesyasza narodowego o sprawie chełmskiej.

Twierdził ON, że wyłączenie Chełmszczyzny nie jest takim strasznym ciosem, za jaki się go przedstawia, jakoto za czwarty rozbiór Polski i t. p. nieszczęście narodowe, gdyż Polacy i tak nie uznają rozbiorów Polski, a mówiąc o niej mają zawsze na myśli Polskę historyczną. Ogromnie uspokajające i pocieszające słowa, będące typowem endeckiem mąceniem i usypianiem opinii narodowej w celu aż nazbyt przejrzystym: usprawiedliwienia nędznego stanowiska wobec tej sprawy swoich kolegów partyjnych w Dumie.

Z RAPTULARZA.

WIEC NAUCZYCIELSKI, z którego sprawozdanie podajemy na innem miejscu, uchwalił następujące rezolucye:

a) Nauczycielstwo ludowe protestuje energicznie przeciwko obecnemu miejscowo-klasowemu systemowi płac w Galicyi, którego niema w żadnym innym kraju i który w niesłychany sposób krzywdzi cały stan nauczycielski. System ten pozbawia nauczycielstwo ludowe warunków ludzkiej egzystencyi, skazuje je wraz z rodzinami w obecnych stosunkach ekonomicznych na skrajną nędzę, co wprowadza w szeregi nauczycielskie demoralizacyę i uniemożliwia normalny rozwój kultury obu narodowości w naszym kraju.

b) Nauczycielstwo ludowe, nie mogąc istnieć i pracować w tak ciężkich warunkach z korzyścią nad wychowaniem młodzieży, domaga się spełnienia w tym roku najważniejszego obecnie postulatu swego, t. j. zrównania poborów nauczycielskich z poborami, jakie przysługują urzędnikom państwowym 11, 10, 9 i 8 rangi.

c) Nauczycielstwo ludowe domaga się wydania w możliwie najkrótszym czasie pragmatyki służbowej, którąby jasno określała prawa stanu nauczycielskiego.

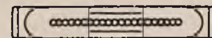
d) Nauczycielstwo ludowe domaga się polepszenia doli wdów i sierót po nauczycielach, tudzież poprawy doli emerytów t. zw. dawnego typu.

WYBORY DO SENATU FRANCUSKIEGO, które odbyły się w tych dniach, nie przyniosły żadnych poważniejszych zmian w ugrupowaniu partyi. Zjednoczeni socyaliści zdobyli o jeden mandat więcej, niezależni zaś stracili jeden; radykali i postępowcy stracili po dwa mandaty, z których lewica republikańska zdobyła trzy i konserwatyści jeden. Większość nie przesunęła się przeto ani na prawo, ani na lewo, co daje wszystkim pismom partyjnym sposobność do ogłaszania swego zwycięstwa.

Z dawnych senatorów, którzy w obecnych wyborach ponieśli porażkę, zasługują na wyróżnienie eks-admirał de Curetoille-monarchista i socyalista-Delpech. Wśród nowo wybranych wyróżniają się: Kamil Pelletan, były minister marynarki z gabinetu Combes'a i Dujardui-Beaumetz, nieśmiertelny podsekretarz wydziału sztuk pięknych. W Marsylii podczas wyborów doszło do zaburzeń, wywołanych przez to, że wyniki wyborów fałszowano dwa razy z rzędu i dopiero za trzecim razem uznano wybory za ważne.

KUPIECTWO POLSKIE W POZNAŃSKIEM zaczyna być solą w oku kupcom niemieckim. Hakatystyczny O s t e n powiada, iż wybory do izb handlowych, które odbyły się w ostatnich czasach, do niepokojących prowadzą wniosków. Mimo, że kandydaci polscy w wyjątkowych tylko wypadkach zwyciężyli, ogólna liczba głosów, którą otrzymali, jest bardzo pokaźna. W Poznaniu drogą kompromisu wybrano Polaka p. Ignatowicza, w Gnieźnie wobec 250 uprawnionych do głosowania kupców niemieckich stanęło 180 Polaków, w Krotoszynie kandydat niemiecki otrzymał 180 głosów, na Wolskiego padło 132. Uwzględnić jednak należy, że z Polaków głosowało tylko 76 procent. Korzystniej jeszcze przedstawia się stosunek Polaków w Inowrocławiu, gdzie było 107 niemieckich, a 84 polskich głosów; dalej w Środzie, gdzie oddano 86 niemieckich głosów, przeciw 79 polskich. Bardzo znaczne zwiększenie głosów polskich byłoby możliwe, gdyby wszyscy kupcy polscy zapisali swe firmy sądownie. Często bowiem uchylają się oni od tej formalności i tracą przez to prawo wyborcze do izb handlowych.

Według „Kupca" w okręgu wyborczym inowrocławskim istnieje przeszło 40 firm, które z tego powodu nie brały udziału w wyborach. Jeżeli do oddanych 84 głosów doliczymy owe 40, okaże się, że w Inowrocławiu Polacy powinni mieć większość 17 głosów. Podobne stosunki panują i w innych okręgach. Przy najbliższych wyborach do izb handlowych, polski świat kupiecki w Poznańskiem powinien dołożyć starań, by ważną tę placówkę choć w części wyrwać z rąk niemieckich.



„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY". LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. ∽ KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".